

Pochwała różnorodności

20 kwietnia 2011

Obecne wybory mogą ugruntować dominację dwóch największych partii. Tymczasem w polityce głowa boli nie tylko od przybytku, ale i od niedoboru.

Z tym największy jest ambaras, żeby czworo chciało naraz – zdają się mówić krytycy obecnej, wielopartyjnej rzeczywistości. Wskazują oni na trudności w porozumieniu się poszczególnych ugrupowań (a zwłaszcza ich liderów), np. przy okazji tworzenia koalicji. Według nich system dwupartyjny, w którym jedna formacja wygrywa i bierze wszystko, druga zaś mniej lub bardziej uprzykrza życie zwycięzcy, czekając na kolejny obrót koła wyborczej fortuny, przynosi same korzyści. Przykładowo, gdy znika konieczność „dowartościowania” koalicjanta, rząd może ograniczyć liczbę ministerialnych etatów, zmniejszając biurokrację i wydatki (w praktyce takie nadzieje bywają złudne, bowiem obowiązki likwidowanych resortów czy departamentów przejmują te, które przetrwają). Wszyscy są szczęśliwi, oczywiście z wyjątkiem partii spoza „Wielkiej Dwójki”, które nie mają udziału w rządzeniu, lub wręcz reprezentacji w parlamencie.

Wizja systemu dwupartyjnego znajduje w mediach coraz większy oddźwięk. O ile nietrudno zrozumieć tytuły ściśle powiązane z dominującymi formacjami, o tyle dziwi akceptacja tego modelu wśród wydawców mniej powiązanych z nimi ideą, czy partykularnym interesem. Powinni oni bronić pluralizmu choćby tylko dlatego, że więcej partii, to więcej wydarzeń, które można relacjonować i komentować. W końcu nie samym Palikotem czytelnik żyje...

Tymczasem spójrzmy na ostatnie wybory. W środkach masowego przekazu od samego początku liczyli się tylko dwaj kandydaci na najwyższy urząd w państwie; pozostali, zwłaszcza z ugrupowań pozaparlamentarnych, traktowani byli jako

ciekawostka. Nic więc dziwnego, że od tak wielu osób słyszałem, że w pierwszej turze nie głosowali na ulubionego kandydata, lecz wybierali spośród dwóch, którzy „mieli realne szanse”, by „nie zmarnować głosu”. Co prawda w pewnym momencie Grzegorz Napieralski wykazał się brakiem taktu, zdobywając wyższe poparcie, niż dla niego przewidziano, ale ostatecznie i tak odpadł w półfinałach, z brązowym medalem na pocieszenie. W badaniach opinii publicznej od dłuższego czasu poparcie dla „planktonu” w wirtualnych wyborach parlamentarnych wykazuje tendencję spadkową. Wrażenie faktycznej dwupartyjności pogłębiają komentatorzy liczących się gazet i audycji, ustawiający mniejsze ugrupowania w charakterze „przystawek”. Wiara ta udziela się nawet przywódcom tych ostatnich, którzy pielęgnują swoisty minimalizm. Szczególnie dobrze było to widać w wypowiedzi Waldemara Pawlaka po podliczeniu przez Państwową Komisję Wyborczą wyników i wyroku: „PSL prześlizgnęło się tuż nad poprzeczką”. Szef partii z wyraźną ulgą oświadczył, że jak widać w małych miasteczkach i na wsiach jego partia jest jeszcze potrzebna. Samozadowolenie lidera ludowców budzi zdumienie, nie mniejsze niż zawarta następnie koalicja, czyli... zgoda na pozycję przystawki do skonsumowania.

Czy dwupartyjność na wzór amerykański jest synonimem dojrzałej demokracji, w co zdaje się wierzyć duża część zarówno polskiej „ulicy”, jak i elit? Przykłady z innych krajów o ugruntowanej „władzy ludu” raczej tego nie potwierdzają. W niedużej Szwajcarii do parlamentu tradycyjnie wchodzi cztery ugrupowania, które wspólnie formują rząd – Helweci mówią nieraz z dumą, że swoje władze wybrali 90 lat temu. Oczywiście Szwajcaria to dość szczególny przypadek, innym przykładem może być jednak Belgia, również nieduża, a mamy tam zwykle do czynienia z aż ośmioma ugrupowaniami w parlamencie, z których wyłaniane są rządy koalicyjne. Także w innych państwach europejskich zachowały się systemy wielopartyjne, np. we francuskim Zgromadzeniu Narodowym zasiada 13 ugrupowań, a w niemieckim Bundestagu, węgierskim Zgromadzeniu Narodowym czy

słowackiej Radzie Narodowej – po 6.

Istnienie w głównym nurcie polityki większej liczby partii stanowi wartość samą w sobie. Pomijając nawet wyjątkową jałowość sporów czy debat toczonych między dwoma tylko siłami – zwłaszcza, gdy niewiele się one różnią w wielu kluczowych sprawach, jak ma to miejsce choćby w Polsce – zwyczajnie zmniejsza się wtedy stopień reprezentacji obywateli we władzy ustawodawczej, a to już poważna strata. Ponadto, nawet ugrupowania „niszowe”, liczące po kilku posłów, mogą mieć potencjalnie coś ciekawego do zaoferowania, rzucić z sejmowej mównicy inne światło na istotne sprawy publiczne. Tu ciekawym przykładem służą Czesi. U naszych południowych sąsiadów zawsze jest kilku „zielonych” parlamentarzystów, którym jednakowo daleko/blisko zarówno do prawicy, jak i lewicy. Stanowią więc jęczyczek u wagi w kolejnych bataliach wyborczych, co jak się zdaje – wychodzi Czechom na zdrowie.

Zresztą sam „wynałazek” koalicji, tak niekiedy krytykowany, także może potencjalnie przynosić pożyteczne rezultaty, zwłaszcza kiedy między koalicjantami występują znaczące różnice. Zmuszeni do szukania kompromisu mają wtedy możliwość wypracowania rozwiązań, które choć nikogo nie zadowolą w pełni – będą w równej mierze satysfakcjonujące dla obu grup wyborców.

A że obecnie na naszej scenie politycznej interesów wielu grup społecznych nie reprezentuje nawet „plankton”, to już temat na inny komentarz.

Autor: Konrad Malec

Źródło: [Obywatel](#)